

Taniec wyobraźni (o *Porze roku* Tomaža Šalamuna)¹

Tomaž Šalamun jest poetą uznanym w świecie, ale czy dobrze znanym w Polsce? Jak dotąd opublikowano cztery wybory jego wierszy, a *Pora roku* jest drugim (po *Pokerze*) przetłumaczonym na nasz język tomem poezji stanowiącym osobną od autorską całość. Znamienna wydaje się przerwa w wydawaniu przekładów wierszy Šalamuna, trwająca od 1979 roku do połowy lat 90. To okres niesprzyjający awangardowym projektom – czas burzliwych przemian historycznych, czas poezji zaangażowanej, najpierw w spory polityczne, potem w dookreślenie nowego paradygmatu twórczości uwalnianej z publicznych obowiązków. Książki słoweńskiego pisarza czekały w Polsce na swój moment: po przełomie 1989 roku przyszła spóźniona fala zachwytu wierszami nowojorczyków i imagizmem intensywnie tłumaczonego wówczas Ezry Pounda, tak więc dopiero powrót do tradycji awangardowych eksperymentów z pierwszych dziesięcioleci XX wieku stworzył właściwy kontekst dla niełatwej poezji autora *Jabłoni*.

Pierwszą moją reakcją na *Porę roku* było zaskoczenie i oszołomienie. Bierze się ono z nadmiaru obrazów, nieoczywistości skojarzeń, metaforyki odklejonej od mimetycznej pojmowanej rzeczywistości. Książka jest gęsta od nazw geograficznych, nazwisk i imion, przedmiotów, roślin i zwierząt, lecz ich desygnaty zdają się dryfować wyłącznie w onirycznej, wyobrażonej przestrzeni usytuowanej na pograniczu słowa i wizji. Ze zderzenia konkretnych obserwacji i surrealistycznej opowieści wynikają szokujące skojarzenia – zaczyna się taniec wyobraźni. Zrazu jedynym porządkiem wydaje się graficzny układ dystychów, uparty rytm powtarzalnych, podwójnych wersów, dlatego moje oko chwyciło się ich jak ostatniej deski ratunku. Później dostrzegłam dyskursywny charakter wierszy Šalamuna, zaburzony raz po raz brakiem bezpośrednich powiązań między szeregiem pytań i odpowiedzi, rzucanych w szalonym tempie tego – rozpisanego na siedemdziesiąt utworów – solilokwium.

„Międlę długopis jak/ różaniec” – mówi bohater wiersza *Czego pilnuje dla mnie Mel w Paragonie* (s. 17)². Pisanie jako przymus powtarzania i jako modlitwa? Oba tropy wydają mi się trafne. W zbiorze powracają po wielokroć (w zmiennych konfiguracjach, jak natrętne wspomnienia) mrówki, morwa, górnicy, podziemne rzeki Słowenii, kolory błękitny i czerwony, baśniowo-mityczne rekwizyty... Šalamun sięga po aluzję do Biblii, jak w *Pożegnaniu*, gdzie jest i rzeka Jordan, i przypowieść o kąkolu, i rzucony kamień, i niezwykle cielesny „Duch, który depcze grykę”, zamiast płynąć „pośród gór” (s. 58).

¹ Tekst jest nieznacznie zmienioną wersją recenzji, która ukazała się pierwotnie w tłumaczeniu na słoweński jako *Ples domislijiye*, tłum. S. Pavlović, „LUD Literatura” 2015, nr 283–284, s. 233–237.

² T. Šalamun, *Pora roku*, tłum. M. Biedrzycki, Mikołów 2013. Przy następnych cytatach z tomiku w nawiasie podaję numer strony za tym wydaniem.

W *Porze roku* każdy tekst stanowi zagadkę, której rozwiązanie utrudnia liczba możliwych kombinacji znaków – jak w wierszu *Jahwe połknął trzy litery, między i oraz i oraz e*. Uznałam więc, że te utwory niekoniecznie trzeba czytać po kolei, ale tak, by swoją masą, swoją nagromadzoną energią przeniosły w obcy, dziwaczny świat bez reguł. Żeby poniosły. Obrazy i zdarzenia, poszatkowane na krótkie zdania pojedyncze piętrzące się jedno na drugim, zlewają się wtedy w jedną potężną parataksę. Natłok skojarzeń, z którym trzeba się w tomie zmierzyć, także dla bohatera *Šalamuna* jest jak narkotyk: zgubny i pożądany jednocześnie. Wiersz zatytułowany właśnie *Parataksa* to ekstatyczny zapis szczęścia na pograniczu unicestwienia: „Ktoś przybił mnie jak mrówkę, jak jakąś kalekę, żebym oparty o futrynę w Barnes & Noble ślaniał się z rozkoszy”. Podmiot doświadcza pewności, że „Nic się nie kończy. Wrzuć/ nas jak koty w skrzynkę w ramiona Boga” (s. 13).

Wiersze *Šalamuna* przypominają mi nieodparcie futurystyczne ekstrawagancje Aleksandra Wata, Brunona Jasieńskiego, Anatola Sterna. Choć po stu latach zmieniły się rekwizyty, śmiałość prowokacji i duch zabawy pozostały te same. Nic dziwnego, że do patronatu autora *Pokera* przyznają się wprost Paweł Sarna i Szczepan Kopyt. Także neoawangardowe wiersze Andrzeja Sosnowskiego, Tadeusza Pióry, Joanny Mueller czy Romana Honeta po lekturze *Pory roku* nie wydają się już tak hermetyczne.

Bezustanna zmiana perspektywy pozwala podmiotowi „W pociągu migać okna” (Rosa, s. 8), być rozumianym przez Julię Kristewę, którą właśnie się czyta (*Błękitne motyle walczą z błękitnym szkłem*, s. 19), podarować ośłowi „błękitne okulary, żeby/ jadł błękitną słomę” (*Zniknąć w baśni, przekuć sobie nogi*, s. 21). Absurdalność skojarzeń wprowadza do zbioru humorystyczny ton, lecz swoboda, z jaką *Šalamun* żongluje konwencjami, jest dobrze przemyślaną strategią. Wynika, jak sądzę, z konsekwentnej realizacji programu poetyckiego. Stąd też szczerza wściekłość na tych, którzy sprzeniewierzają się awangardowej zasadzie buntu czy choćby inteligentnej błazenady:

„(...) Co za

Buce, nie mieści mi się w głowie, jaki
aparatury zawodowego szaleństwa. Kochani, wpuściliście

się w makabryczną nudę i Duchampa
od trzydziestu lat przerabianie na zatęchły salon”
(*Wziąłem taczki*, s. 27).

Rewersem ludycznych gier jest myśl o nietrwałości sztuki: „Ile// wyschniętego gówna, ile z tego/ obumarło” (*Przed zamachem Zarjica*, s. 46) i pragnienie uchwycenia jej nieoczywistego piękna. Wiersze *Šalamuna* onieśmielają ilością odwołań do artystów nowoczesnych: Zoran Mušič, On Kawara, Michael Heizer, Neo Rauch, Carlo Carrà to tylko garść nazwisk przywołanych w *Porze roku*. Niektóre utwory są poetyckimi recenzjami (rzeźby Andrzeja Tarmana zostały ocenione w wierszu *Po tej nocy*), niektóre – ekfrazami (jak odnoszący się do malarstwa Wei Donga wiersz *Tu. Ubiera Schielego*).

„Ciągłe myślę o tobie, pędzlu” – deklaruje podmiot, by w tym samym wierszu ironizować pod swoim adresem: „Umrzyj,/ kanarku. Spisałeś wierszem tysiąc malowideł” (*Kula dum-dum*, s. 40).

Równie długa byłaby lista literackich mistrzów Šalamuna, pojawiających się w książce w charakterze bliskich przyjaciół. Stéphane Mallarmé okrywa go w lustrze kocem (Szelki, s. 18), Lawrence Ferlinghetti ratuje przed megalomanią (*Wziąłem taczki*, s. 27). Gdy czytam wersy „Leżymy./ Leżymy i oddychamy. Good question. Prešeren./ namalowałby ścianę. Prešeren wziąłby strug.” (*Górnicy*, s. 56), przypominam sobie słynny wiersz Miłosza Biedrzyckiego *** [*Dobry wieczór, nazywam się Mickiewicz...*], z równą swobodą odwołującego się do romantycznej figury poety-wieszczka.

Są w książce takie utwory, jak *Zwinni umarli budują swój pałac z czerwonej cegły*, wobec których mogę tylko powiedzieć „pas”. Dziwność bywa jednak źródłem niezwykłego piękna, jeśli nie całych wierszy, to pojedynczych zdań:

„Zrób mi mroczną wiosnę.

Żeby się rozlegała jak wodotrysk”

(*Piękna dolina toczy kule do obory*, s. 48).

Wydaje mi się zresztą, że sam autor przestrzega przed nadmiernym wysiłkiem interpretacyjnym, więcej: przed intronizowaniem logiki jako najskuteczniejszego narzędzia poznania. W charakterystycznym dla siebie tonie, pół żartem, pół serio nazywa myślenie w poezji „śwetrem,/ którego nici się rwą”, powołując się jednocześnie w tytule na słynny wers Alfreda Edwarda Housmana „Shoulder the sky, my lad, and drink your ale” (s. 54). Jest tu wierny dadaistyczno-surrealistycznej zasadzie uwolnienia znaczeń, która przed stu laty nadała impet poezji awangardowej, zawsze gotowej na zmianę.

Po rozgarnięciu natłoku zdań i obrazów w wierszach kończących tom, wyraźnie odmiennych składniowo i graficznie, natykam się na wyznania: „noszę siniaki po wewnętrznej i zewnętrznej stronie” (– – – *Nie rysowałem...*, s. 73), „Tak jeszcze nie pisałem. / Nie wiem, co się stanie” i „Gdy będę oddychał, umrę” (– – – *Jesteś tu?*, s. 75). Brzmiały inaczej, jakby zapowiadały przemianę dykcji, nowe otwarcie. Nadejście innej pory roku.

Tomaž Šalamun, *Pora roku*, tłum. Miłosz Biedrzycki, Instytut Mikołowski, Mikołów 2013.

